

Nazywam się Sam Mitchell i jestem mordercą. Przynajmniej według aktualnych władz Europy. W rzeczywistości nikogo nie zabiłem, a moją jedyną winą było spóźnienie się do pracy i próba powiedzenia prawdy. Zwłaszcza to drugie nie jest w dzisiejszych czasach popularne. Zastanawiacie się, jak to możliwe? Opowiem wam. Może dzięki temu nie popełnicie naszych błędów, a moje życie zyska jakiś sens.

Zacznijmy jednak od początku. Urodziłem się w Republice Teksasu w 2152 roku. Nie dam się skusić swojej próżności i nie opowiem wam o swoim dzieciństwie czy dorastaniu. Nie miały one nic wspólnego z omawianymi dalej wydarzeniami i nie obfitowały w żadne niecodzienne doświadczenia. Powiem tylko, że byłem zwykłym teksaskim chłopakiem, który nie wyróżniał się inteligencją, wyglądem czy jakimiś specjalnymi zdolnościami. Ot, zwykły, przeciętny Joe.

Po szkole średniej udało mi się znaleźć zatrudnienie w wielkim koncernie pozyskującym napędzający nasz świat wodór z ziemskich oceanów. Praca była niezbyt skomplikowana i w sumie dość monotonna, lecz przyzwoicie płatna, nieszkodząca zdrowiu oraz pozwalająca w jakiś sposób zaplanować najbliższą przyszłość. Wziąłem więc kredyt, dołożyłem pieniądze ze spadku po rodzicach i kupiłem kawałek ziemi z niewielkim, wymagającym ciągłych remontów drewnianym domkiem.

Miałem również świetną — przynajmniej tak mi się wtedy wydawało — dziewczynę oraz kilku wiernych — co do dwóch z nich również się myliłem — przyjaciół, którzy często nas odwiedzali. Przeczytawszy poprzednie zdanie, zapewne domyślacie się już reszty. Tak, obaj bywali w naszym domu zdecydowanie częściej, gdy mnie w nim nie było. Dodam jeszcze, że ojciec jednego z nich zajmował się nieruchomościami, ciotka drugiego była zaś prawnikiem. Do dziś nie wiem, jak Kate tego dokonała, ale w dwa miesiące straciłem dach nad głową i zostałem obciążony kolejnym kredytem.

W pracy odmówili mi podwyżki, twierdząc, iż w *sumie moje stanowisko nie jest aż tak ważne i w ogóle powinienem się cieszyć, że jeszcze nie zastąpili mnie sztuczną inteligencją*. Brednie, wszyscy dobrze wiedzieli, że przemysłowy sabotaż z użyciem EMP był coraz częstszy, a zastąpienie mnie komputerem, który był na niego szczególnie podatny, groziło nawet rozsądzeniem wartych grube miliardy dolarów instalacji. Nie wiem, czy sama odmowa podwyżki tak mnie wtedy rozwścieczyła (a byłem w tamtym czasie kłębkim nerwów), czy może to durne tłumaczenie, uwłaczające mojej może niezbyt wysokiej, ale jednak jakiejś tam inteligencji, ale powiedziałem im, żeby wsadzili sobie tę pracę tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Wręczając mi wypowiedzenie, zaznaczyli z satysfakcją, abym pamiętał, że według podpisanej z nimi umowy, nie mogę się zatrudnić u ich konkurencji przez najbliższych pięć lat. Przeczytawszy dzień wcześniej ten dokument, znałem doskonale wszystkie jego podpunkty, wypaliłem więc z zadowoleniem:

— *Jeśli jego działalność odbywa się na Ziemi*. Na Europie płacą zdecydowanie lepiej niż tu.

Szyderczy uśmiech szybko spełził z okrągłej twarzy zwalniającego mnie dyrektora. Bo choć kolonia na Europie istniała dopiero niecałe dwa lata, to już przyciągała coraz więcej Ziemiaków, Lunan i Marsjan. Wkrótce mogła stać się ogromnym hubem dla statków latających poza Układ Słoneczny. Dysponując zasobami wody dwukrotnie większymi niż ziemskie, była na dobrej, choć trzeba przyznać, że wyboistej, drodze ku dominacji w sektorze planet zewnętrznych.

— Zatem życzę powodzenia na Europie — odparł z udawanym spokojem dyrektor, wskazując mi drzwi swego przestronnego gabinetu.

Później, już na Europie, dowiedziałem się, że wkrótce po moim zwolnieniu firma kazała podpisywać swoim pracownikom nowe lojalki, które obejmowały również koncerny prowadzące swą działalność poza Ziemią. Nie powiem, by te wieści nie przyniosły mi złośliwej przyjemności, choć muszę uczciwie przyznać, że „żegnając się” z dyrektorem, nie miałem jeszcze zamiaru przeprowadzać się (może powinienem napisać *przenosić*, zważywszy na to, że oficjalnie nie miałem już domu) na najmniejszy z galileuszowych księżyców Jowisza. Ostateczną decyzję podjąłem dopiero, gdy po tygodniu mieszkania na werandzie u jednego z pozostałych mi przyjaciół, nadal pozostawałem bez pracy, za to z nadmiarem myśli o Kate i swojej łatwości.

Jak dziś pamiętam ten upalny dzień w lecie roku 2173, kiedy wkroczyłem do centrum rekrutacyjnego Europa Fuels w Dallas. Na skórze poczułem przyjemny chłód klimatyzacji, mój nos został zaś zaatakowany jakimś miłym, choć nieco zbyt intensywnym, syntetycznym zapachem kwiatów, łączącym w sobie słodczy świeżo kwitnących majowych pól ze statycznym spokojem późnoletniego lasu. Rozejrzałem się po zatłoczonym, obszernym pomieszczeniu. Długie kolejki do stanowisk rekruterów pozwalały mi sądzić, że spędzę tam przynajmniej kilka godzin. Odruchowo przyłożyłem swoją kartę identyfikacyjną do czytnika przy drzwiach wejściowych i zacząłem oglądać wyświetlające się na ścianach i pod sufitem holografiki, przedstawiające widoki, jakie potencjalny emigrant na Europę miał szansę podziwiać podczas swej podróży ku nowemu życiu. Był tam rdzawo-pomarańczowy Mars; ogromny, przygniatający majestatem Jowisz ze swoją trwającą ponad tysiąc lat burzą; ciemna Kallisto, wyglądająca jakby ktoś pozapalał na niej miliony małych, białych światełek; olbrzymi, podobny do Księżyca Ganimedes; przywodząca na myśl kulę żółtego śniegu Io (nie mam pojęcia, dlaczego akurat z tym mi się skojarzyła, być może przez chłód klimatyzacji) oraz oczywiście biała, poryta brązowymi szczelinami Europa.

— Pan Samuel Mitchell — usłyszałem niespodziewanie z głównego głośnika — stanowisko piąte.

Zaskoczony rozejrzałem się po pomieszczeniu. Czyżby ktoś nazywał się tak samo jak ja? Nie, piękna blondynka, która wstała właśnie z jednego z krzesel za przezroczystą ścianką oddzielającą rekruterów od ochotników, pomachała zachęcająco w moją stronę. Ignorując spojrzenia zawiści czekających już od dłuższego czasu mężczyzn, rażnym krokiem podszedłem do stanowiska piątego. Czytające to kobiety proszę o wybaczenie, ale w tym miejscu nie mogę nie wspomnieć o urodzie pań rekrutek. Każda z nich z łatwością mogłaby reklamować pasty do zębów, szampony do włosów czy bieliznę (a zapewne i nawet nanochirurgię plastyczną). Wszystkie wyglądały po prostu perfekcyjnie. Nie mogło być jednak inaczej, jeśli jakieś 97% populacji Europy w pierwszych trzech latach stanowili mężczyźni. Daleki jestem od stwierdzenia, iż którykolwiek z ochotników zebranych wtedy w centrum rekrutacyjnym zdecydował się na emigrację na oddalony od Ziemi o 390 mln mil świat wyłącznie z powodu walorów estetycznych rekrutek, ale jestem pewny, że wpływały one na te decyzje w jakimś tam stopniu. W gruncie rzeczy mężczyzna to przecież prosty konstrukt, który lubi się czuć... chciany? Doceniony? Jakby tego nie nazwać, osoby odpowiedzialne za zatrudnienie tych pań z pewnością zdawały sobie z tego sprawę. Podobnie jak ci wybierający im stroje służbowe z głębokimi dekoltami.

— Poprosiłam pana wcześniej — rozpoczęła blondynka, siadając na krześle i przez chwilę wpatrując się w swój holowyswietlacz — ponieważ szukamy właśnie pana. — Przysięgam, że powiedziała *właśnie pana*. Nie *kogoś takiego jak pan*, ale *właśnie pana*. Mimo że wiele rozmów w dalszej części swojej opowieści będę przytaczał z pamięci i na pewno nie będą to dokładne słowa użyte przez moich rozmówców, tak doskonale pamiętam, jakiego zwrotu użyła wtedy rekruterka. — Posiada pan wymagane doświadczenie na stanowisku, na które poszukujemy chętnych — spojrzała mi w oczy, z trudem walczyłem, by utrzymać z nią kontakt wzrokowy (i

nie mówcie, że nie wiecie dlaczego) — nie ma pan rodziny — nie mam pojęcia, skąd o tym wiedzieli; przecież karty identyfikacyjne oficjalnie nie zawierały takich informacji — i jest pan młody. My jesteśmy gotowi zaproponować panu pracę, ale zapewne ma pan do nas pytania. Od razu powiem, że najkrótszy standardowy kontrakt, jaki oferujemy, trwa sześć lat. Powrót na Ziemię przed upływem tego czasu nie będzie możliwy, jestem jednak pewna, że ktoś tak przystojny jak pan z łatwością znajdzie sobie na Europie drugą połówkę i być może zdecyduje się zamieszkać tam na stałe — uśmiechnęła się promiennie.

Miała zmysłowe usta i równe, białe zęby, ale jej uśmiech przypominał mi Kate, więc nabrałem pewnych podejrzeń co do jej słów.

— A właśnie. Bo widzę tu samych mężczyzn. Na stanowiskach, jakie oferujecie, też zwykle pracują mężczyźni. Czy...?

— Rozumiem pana obawy. Tak, ma pan rację. Na razie większość mieszkańców Europy to mężczyźni. Kolonia rozwija się jednak tak szybko, że wkrótce będziemy potrzebowali zawodów, w których liczebnie przeważają kobiety. Docelowo mamy zamiar stworzyć balans populacyjny podobny do tego z Ziemi czy Luny.

— A... — Zapatrzyłem się i nie potrafiłem skupić na przedmiocie rozmowy.

Rekruterka uśmiechnęła się szeroko i udała, że poprawia dekolt uniformu tak, aby więcej zasłaniał. Jej „starania” nie przyniosły oczywiście w tej materii żadnych efektów. Wykorzystała jednak moje zawahanie, aby zmienić temat:

— W tajemnicy mogę jeszcze dodać — ściszyła głos — że zapewniamy bardzo dobrą opiekę prawniczą. Te kredyty, które pan posiada... Być może nie będzie pan ich musiał spłacać.

— Tak? — I tak nie zamierzałem tego robić. Co by mi zrobili? Zabrali dom, w którym nie mogę mieszkać? Wtrącili do więzienia? Powodzenia ze znalezieniem mnie i przetransportowaniem z powrotem do Teksasu.

— Tak. Jako obywatel Europy otrzyma pan naszą szczególną protekcję.

— Dostanę obywatelstwo?

— Naturalnie. Zupełnie jak Lunanie czy Marsjanie. Z tym że u nas wiążą się z tym wymierne korzyści.

W tej kwestii nie kłamała. Nigdy nie spłaciłem tych kredytów i nie miałem z tego powodu żadnych kłopotów. Nie dodała jednak, że stając się obywatelem Europy, zrzekłem się swego teksaskiego paszportu, a to poważnie ograniczyło mi później pewne opcje. Ale wszystko w swoim czasie. Na razie wróćmy do rozmowy w centrum rekrutacyjnym.

Właściwie byłem już zdecydowany wyemigrować, lecz chciałem wynegocjować dla siebie jak najlepsze warunki. Nie miałem jednak silnej pozycji. Tak, Europa Fuels potrzebowała kogoś z moimi umiejętnościami, ale ja potrzebowałem ich jeszcze bardziej; nie mogłem przecież zatrudnić się na tym stanowisku nigdzie na Ziemi, a nie bardzo widziało mi się zaczynać coś zupełnie innego i na pewno gorzej płatnego. Rozejrzałem się po sali w poszukiwaniu inspiracji. Moją uwagę przykuła holografika przedstawiająca luksusowy prom kosmiczny, zapewne mający zawieźć mnie na Europę.

— To świetnie. Chciałbym się jednak jeszcze dowiedzieć, jakie warunki mieszkaniowe oferujecie na miejscu. Sześć lat to bardzo długi czas, by żyć tylko przy sztucznym świetle i w ciasnych kajutach kolonii.

— O, zapewniam pana — rzekła uspokajającym tonem — że nie są to żadne kajuty, ale najprawdziwsze mieszkania, nie ustępujące w niczym standardom ziemskim, a dalece wyprzedzające to, co mógł pan zobaczyć w broszurach o Marsie czy Lunie. Co do światła...

Pod sufitem, na szerokości całej ściany, ukazała się holografika przedstawiająca jakiś park. Z początku wziąłem go za Yosemite czy Yellowstone. Dopiero zachwycone pomruki pozostałych ochotników pozwoliły mi zwrócić uwagę na drobne szczegóły, jak otwory wentylacyjne „w chmurach” czy charakterystyczne filary „podtrzymujące” nieboskłon. Patrzyłem na holo-

grafikę wnętrza jakiegoś bulwaru na kolonii kosmicznej, na którego ścianach wyświetlały się hiperrealistyczne obrazy ziemskich krajobrazów. I wiecie co? To naprawdę wyglądało jak Ziemia. Nie tylko światło, ale leniwie sunące po niebie chmury, poruszane delikatnym wiatrem liście drzew czy przelatujące nad nimi ptaki. Nie wiem, kiedy czytacie te słowa. Może dla was to standard, ale wtedy była to nowość, a i dziś nie mogę wyjść z podziwu dla tej technologii.

— Widzę, że się panu podoba. Wnętrza kolonii tak właśnie wyglądają. Oczywiście nie wszędzie. W obszarach przemysłowych naturalnie zrezygnowaliśmy z tych udogodnień, lecz niemal wszystkie przestrzenie publiczne oraz mieszkania są w nie wyposażone.

— Mieszkania też? — nie dowierzałem.

— Tak — uśmiechnęła się blondynka — a obraz to tylko jego część. Zapewniamy również wrażenia słuchowe, węchowe oraz dotykowe.

— Dotykowe?

— Wiatr, który porusza liśćmi na holografice, poczuje pan na własnej skórze.

Musiałem milczeć dłuższą chwilę, podziwiając holografikę, bo rekruterka podjęła:

— Widzę, że się pan waha. Może przedstawię proponowane przez nas warunki.

Na blacie, o który opierałem łokcie, wyświetliła się umowa. Wytłuszczoną czcionką zapisa-  
no na niej proponowaną pensję. Podano ją w europach — walucie kolonii — ale po przelicze-  
niu na dolary była prawie dwa razy większa od mojej dotychczasowej. Rozpoczynając te nie-  
udolne negocjacje, nawet przez chwilę nie sądziłem, że uda mi się uzyskać takie pieniądze.  
Szybko przebiegłem wzrokiem resztę kontraktu. Wszystko było w porządku. Zastąpienie oby-  
watelstwa teksaskiego europejskim nie wydawało mi się szczególnym poświęceniem, pozwoli-  
łem więc czytnikom zeskanować swój odcisk palca oraz obraz oka i unikalnym ruchem pal-  
ców „złożyłem podpis” na dole dokumentu.

— Cieszę się, że dołączy pan do nas — stwierdziła z uśmiechem rekruterka.

— Pani też wybiera się na Europę?

— Nie w najbliższym czasie. Może później. Pytanie jednak, kiedy pan może tam lecieć? Według warunków kontraktu ma pan miesiąc na zamknięcie swoich spraw na Ziemi...

— Choćby jutro — wypaliłem bez zastanowienia.

— Naprawdę? To się świetnie składa, bo akurat jutro spod Dallas startuje kolejny prom na Europę.

— Tak? — Przełknąłem głośno ślinę.

— Chyba że potrzebuje pan więcej czasu — podsunęła kobieta, dostrzegając moje zasko-  
czenie. — Kolejny prom startuje za tydzień.

Przyznam, że byłem trochę zaskoczony tak nagłą możliwością porzucenia dotychczasowe-  
go życia, ale czy potrzebowałem więcej czasu? Co mnie tam trzymało? Nie miałem pracy, ro-  
dziny, domu, a większość przyjaciół tak naprawdę okazała się bardziej znajomymi niż przyja-  
ciółmi. Jedyne go przyjaciela, jakiego miałem, też wyraźnie zaczynał irytować mój pobyt na  
jego werandzie, więc...

— Nie, nie potrzebuję więcej czasu — zapewniłem z pełnym przekonaniem.

— W takim razie dopisuję pana do listy. Proszę się tu pojawić jutro o czternastej. Zapew-  
niamy bezpłatny transport do portu kosmicznego.

— Świetnie, będę na pewno.

Dwadzieścia cztery godziny później siedziałem już w przewożącym dwa i pół tysiąca kolo-  
nistów promie, szykującym się do startu z portu kosmicznego imienia Davy'ego Crocketta.

— Nasz prom nazywa się *Jowisz II* i lecimy na Jowisza II. Zabawne, prawda? — zagaił pasa-  
żer z sąsiedniego fotela.

Nie od razu skojarzyłem, że inna nazwa Europy to *Jowisz II* — drugi księżyc gazowego gi-  
ganta.

— Tak, to ciekawy zbieg okoliczności — odparłem po chwili, rozglądając się po wnętrzu jednostki.

To prezentowało się zgoła inaczej niż na holografice w centrum rekrutacyjnym. Po pierwsze, nie miało okien (swoją drogą, czy *okno* to właściwe słowo? Może powinienem napisać *bulaj* lub *iluminator*? Zresztą nieważne, wtedy się nad tym nie zastanawiałem i wy też nie powinniście, chyba że cierpicie na nadmiar nudy, jak ja w miejscu, w którym się aktualnie znajduję), więc obserwacja kosmosu gołym okiem nie wchodziła w grę — można go było obejrzeć jedynie na fotelowych holowyświetlaczach. Nie żeby mnie to jakoś szczególnie interesowało, ale miło by było zerknąć od czasu do czasu na coś tak unikalnego dla Ziemiańcina jak przestrzeń kosmiczna (a siedziałem akurat „od okna”).

Po drugie, standard promu znacznie różnił się od tego, który miałem okazję podziwiać na holografice w placówce Europa Fuels. Tam każdy miał swoją kajutę, tutaj siedzieliśmy stłoczeni w rzędach jak w jakichś latających kiedyś po Ziemi samolocikach. Kurs miał trwać...

— Czy trzydzieści jeden godzin to nie za długo, by pozostawać w tych fotelach? — spytał zaniepokojonym głosem mój sąsiad. — A przecież jeszcze nie wystartowaliśmy. To dodatkowe pół godziny. Nie zrobią się nam odleżyny?

— Wydaje mi się, że nie musimy się o to martwić — odparłem uspokajającym tonem.

Tak, lecąc z prędkością 2% prędkości światła, dodając do tego czas na przyspieszenie i wyhamowanie, powinniśmy znaleźć się na Europie za około trzydzieści jeden godzin. O ile wcześniej...

— A jeśli nie zadziałają ochronne pola siłowe?

Zgadza się, zamiana w krwawą papkę z powodu nadmiernych przeciążeń grawitacyjnych też zakończyłaby przedwcześnie nasz rejs. Ja miałem jednak na myśli...

— Nie, nie powinienem się o to martwić. Od tej katastrofy w dwunastym znacznie usprawniono technologię pół siłowych.

...zanudzenie mnie na śmierć przez mojego sąsiada.

— Przepraszam, że tyle mówię, ale to mój pierwszy rejs poza Ziemię — tłumaczył się pasażer.

— Mój też — odrzekłem wyrozumiale. — Jestem pewny, że wszystko przebiegnie bez żadnych problemów. — By dał mi spokój, odwróciłem się do okna... którego tam nie było.

Sąsiad od razu to wykorzystał:

— Nazywam się George. — Wyciągnął ku mnie prawicę.

— Sam. — Uścisnąłem ją, rozpaczliwie wodząc wzrokiem po wnętrzu promu, szukając czegoś, co pozwoliłoby mi się od niego uwolnić. Bezskutecznie.

— Będę pracował w administracji, a ty?

— Nadzór nad procesem pozyskiwania wodoru?

— O, to pewnie możesz dużo powiedzieć o elektrolizie?

Tak, mogłem. Ale nie miałem ochoty gadać o pracy po pracy. W życiu trzeba zachowywać balans, chyba się zgodzicie?

— Słyszałem, że na Europie używają innych środków do poprawy przewodnictwa wody...

— Start nastąpi za minutę, prosimy zapiąć pasy — dobiegło z głośników pokładowych.

Dzięki ci za szybkie i sprawne przygotowanie do rejsu, Europa Fuels! Mój sąsiad zapiął pasy, zamknął usta i kurczowo chwycił się podłokietników. Poszedłem w jego ślady, ale ręce spokojnie oparłem na kolanach. George'owi czas dłużył się zapewne w nieskończoność, ja rozkoszowałem się chwilami ciszy na głośnym do tej pory pokładzie. Wkrótce poczułem delikatne pchnięcie, nie mocniejsze od pierwszego ruchu grawideski, jeśli ktoś z was kiedyś posiadał ten gadżet. Potem wydawało mi się, że zawisliśmy w miejscu. Nie czułem żadnego przyspieszenia, nie słyszałem pracy silników, nie zatkały mi się uszy, jak to czasami bywa na

większych wysokościach. Zanim zdążyłem się w pełni nacieszyć spokojem, z głośników popłynęło:

— Opuściliśmy ziemską orbitę. Można odpiąć pasy. Wkrótce zaczniemy zbierać zamówienia na kolację.

— Uff, myślałem, że będzie bardziej trzęsło. Że w ogóle będzie trzęsło. A tu nic. Nie wiem, po co w ogóle musieliśmy zapinać te pasy — stwierdził ze spoconą twarzą George.

Wolałem mu nie przypominać, że w ostatnim ćwierćwieczu ochronne pole siłowe na promach kosmicznych zawodziło dwukrotnie. Gdyby nie ono, bez pasów wyleciałby z fotela i zderzył się ze ścianą odgradzającą nas od pasażerów w tylnym przedziale. Tamte promy natchmianem zawrócono na Ziemię i naprawiono ich usterki, więc nikomu nic się nie stało, ale po co było martwić mojego sąsiada? Jeszcze by się bardziej rozgadał. Wzruszyłem więc tylko ramionami.

— Ale przerwali nam miłą pogawędkę. Pytałem o przewodnictwo wody...

— Wybacz, George, ale wczoraj do późna zęgnalem się z przyjaciółmi i jestem śpiący — skłamałem — chyba się prześpię.

— A kolacja? — spytał, wyraźnie rozczarowany.

— Zjem później.

— W porządku. Lot będzie długi, zdążymy sobie jeszcze pogadać — stwierdził z uśmiechem.

Uprzejmie skinąłem głową, rozłożyłem fotel i zamknąłem oczy. Starąłem się odciąć od rozmów pozostałych pasażerów, ale George znalazł sobie nową ofiarę w sąsiednim rzędzie i trajkotał w najlepsze przez... w sumie nie wiem ile, ale wydawało mi się to długimi godzinami. W końcu jednak okoliczni pasażerowie poszli w moje ślady i „pozasypiali”. George zjadł kolację i wkrótce sam zapadł w sen. Słyszając jego ciche pochrapywanie, otworzyłem oczy i rozejrzałem się dookoła. Niespodzianka. Nasi sąsiedzi zrobili to samo. Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia i zamówiliśmy posiłek. Po nim puściłem jakiś film na holowyświetlaczu, ale nawet nie pamiętam, o czym był. Znudziłem się i wkrótce sam poszedłem spać.

Obudzony się, z ulgą zauważyłem, że mój sąsiad gdzieś zniknął. Domyśliłem się, że udał się do toalety, więc zamówiwszy śniadanie, na chybił trafił otwarłem jakąś książkę na holowyświetlaczu, po czym sam udałem się do kibla. Ponieważ rano (podobnie jak na Europie, na promie posługiwaliśmy się dwudziestoczworgodzinnyim ziemskim porządkiem dnia) wszyscy musieli się tam udać, trochę mi zeszło. Gdy wróciłem, George już na mnie czekał. Na szczęście rozmawiał z nową ofiarą, więc szybko zabrałem się za pałaszowanie śniadania, założyłem słuchawki na uszy, odpaliłem szum morskich fal i zagłębiłem się w lekturę książki.

Mimo że *Chromowane marzenie* miało być tylko pretekstem, by nie rozmawiać z moim sąsiadem, a ostatnią książkę czytałem chyba jeszcze w podstawówce, to powieść słowiańskiego autora wciągnęła mnie na tyle, że do wieczora przeczytałem ją całą (naprawdę, bliska obecność George'a nie miała z tym nic wspólnego). Wkrótce zaś znaleźliśmy się na orbicie Europy, więc gaduła wrócił do kurczowego trzymania się fotela.

W kolejnych latach spotkałem go jeszcze dwa razy. Za pierwszym rozmawialiśmy kilka minut, ale że akurat miałem przerwę w pracy, mogłem podać prawdziwy powód, by przerwać jego wywody. Za drugim wymówiłem się pośpiechem na długo oczekiwane spotkanie.

Zapewne wielu z was zastanawia się w tej chwili, po co w ogóle umieściłem w swej opowieści ten nudnawy fragment o podróży na Europę. Otóż jest on ważny z dwóch powodów. Po pierwsze, gdyby nie *Chromowane marzenie*, pewnie nie przeczytałbym już w życiu żadnej książki, a co za tym idzie, nie spisał swojej historii. Po drugie zaś, pragnę wam pokazać, że to całe przedsięwzięcie związane z kolonią na jednym z galileuszowych księżyców Jowisza od początku nie było tym, czym je zapowiadano.

*Przecież nigdzie nie napisali, że polecicie akurat tym promem z holografiki — powiedzą niektórzy z was. Racja, ale dlaczego w takim razie akurat ten prom był tak eksponowany w centrum rekrutacyjnym? Cemu nie pokazano tego, którym naprawdę mieliśmy lecieć? Nie sądzę, by zmieniło to czyjąkolwiek decyzję. Podobnie jak umieszczenie w centrum tych urodziwych rekrutek, podczas gdy na miejscu czekało nas niemal jedynie towarzystwo spocynych facetów. Drobne podkoloryzowanie rzeczywistości, nieszkodliwe kłamstwa, które codziennie puszczamy płazem, bo stały się tak powszechne, że weszły nam w krew. Ale oni tak działają, każdego dnia delikatnie przesuważą granicę naszej tolerancji i moralności, by w końcu osiągnąć swoje cele.*

W dziewiętnastym i dwudziestym wieku na Ziemi, w Kenii, żył pewien polityk, który powiedział kiedyś (cytuję z pamięci, tu, gdzie jestem, nie mam jak tego sprawdzić, ale raczej wiernie oddam jego słowa): *Kiedy misjonarze przybyli do Afryki, mieli ze sobą Biblię, a my mieliśmy ziemię. Powiedzieli „Módlmy się”. Zamknęliśmy oczy. Gdy je otwarliśmy, my mieliśmy Biblię, a oni naszą ziemię.* Niestety my, ludzie, zbyt często zamykamy oczy. Powodów jest wiele. Brak zainteresowania, naiwność, przyzwyczajenie, a nawet tchórzostwo. Wiem, bo sam taki byłem, a obudziłem się dopiero, gdy było już za późno. Przynajmniej dla mnie. Ale dla was być może jeszcze nie. Dlatego postanowiłem spisać tę opowieść.

Jeśli was zainteresowałem, czytajcie dalej. Jeśli uważacie, że gadam od rzeczy... to tym bardziej powinniście przewrócić stronę i zobaczyć, jak to działa w praktyce.